



PRZECIĄŻENIA UMYŚLOWE. JAK LUDZIE ZAPRASZAJĄ PIEKŁO DO SIEBIE, CZYLI UNIWERSALNY PROBLEM NIEMIŁOŚCI. I JESZCZE TEN WIRUS...

Barbara Chabior

Strindbergowski „Taniec śmierci” z covidowej epoki. Rzecz się dzieje w pięknym miejscu, może i nad morzem, w domu ociekającym luksusem. Zjawiskowa para. Trzasną drzwiczki ekskluzywnej fury, otworzą się i zamkną bez skrzypnięcia prowadzące do tego domu drzwi. A w środku powolutku zacznie mieszkać piekło.

Porównywanie produkcji Sama Levinsona „Malcolm i Marie” do sztuki Augusta Strindberga jest prawdopodobnie kompletnie nieuprawnione. To jak zestawić rower ze strojem nurka. Film, który pojawił się na platformie Netflixa, zapewne nie miał nawiązywać, czerpać, pretendować, być inspirowany i cokolwiek by jeszcze mogło być, to też nie. No i z całą pewnością nie miał się mierzyć. Bo przecież nawet trudno powiedzieć, czy taki zamiar miałby sens. Jeśli jeszcze zdarzy się, że jakiś reżyser teatralny sięgnie po dramat starego dobrego Augusta, nie wykrzesze z niego czegoś doskonałego, nawet siląc się na najbardziej dyskusyjne uwspółcześnienia. Jeśli sięgnie, bo od dawna nikt się nie kwapi.

Bo pewnie problem piekła, w jakim można mieszkać we własnym domu, dziś ma inne oblicze. U Strindberga para bohaterów – Edgar, kapitan artylerii i Alicja, jego żona, była aktorka – tkwią w koszmarze nienawiści, w zatrutym świecie własnego domu. Trudno nawet zrozumieć, jak to jest, zgotować sobie taką zgniłą puszkę.

No, ostatnio może łatwiej. Wyobraźnię mógł pogimnastykować wielu parom na całym świecie ostatni rok. Nawet tytuł sztuki Strindberga pasował do tego pandemicznego czasu. Pięknie, jednak stary Skandynaw nie daje o sobie zapomnieć nawet w czasie, gdy mamy swoje sprawy, swoje problemy, a jednym z nich jest demon spod mikroskopu.

Co łączy, a co dzieli te dwie odległe w czasie wizje, oprócz tego, że pomiędzy dwójgim ludzi, w ich własnym domu, może – przez lata albo jednego wieczoru – narodzić się demon? Potem są już tylko różnice. I może one są najciekawsze, bo są znakiem czasów.

Auguście, mój Auguście. A byłeś taki postępowy!

O skandynawskim dramaturgii Tomasz Mann napisał: „Jako twórca, myśliciel, prorok, prekursor nowego spojrzenia na świat, za bardzo wybiegał naprzód, aby dzieło jego w najmniejszym bodaj stopniu mogło się zestarzyć i utracić siłę oddziaływania. Stojąc poza szkołami i prądami, a zarazem ponad nimi, Strindberg łączy je wszystkie w sobie. Ten naturalista i neoromantyk jest również prekursorem ekspresjonizmu, zasługując na wdzięczność całego pokolenia, które hołdowało temu kierunkowi, i jest zarazem pierwszym nadrealistą – pierwszym w każdym tego słowa znaczeniu”.

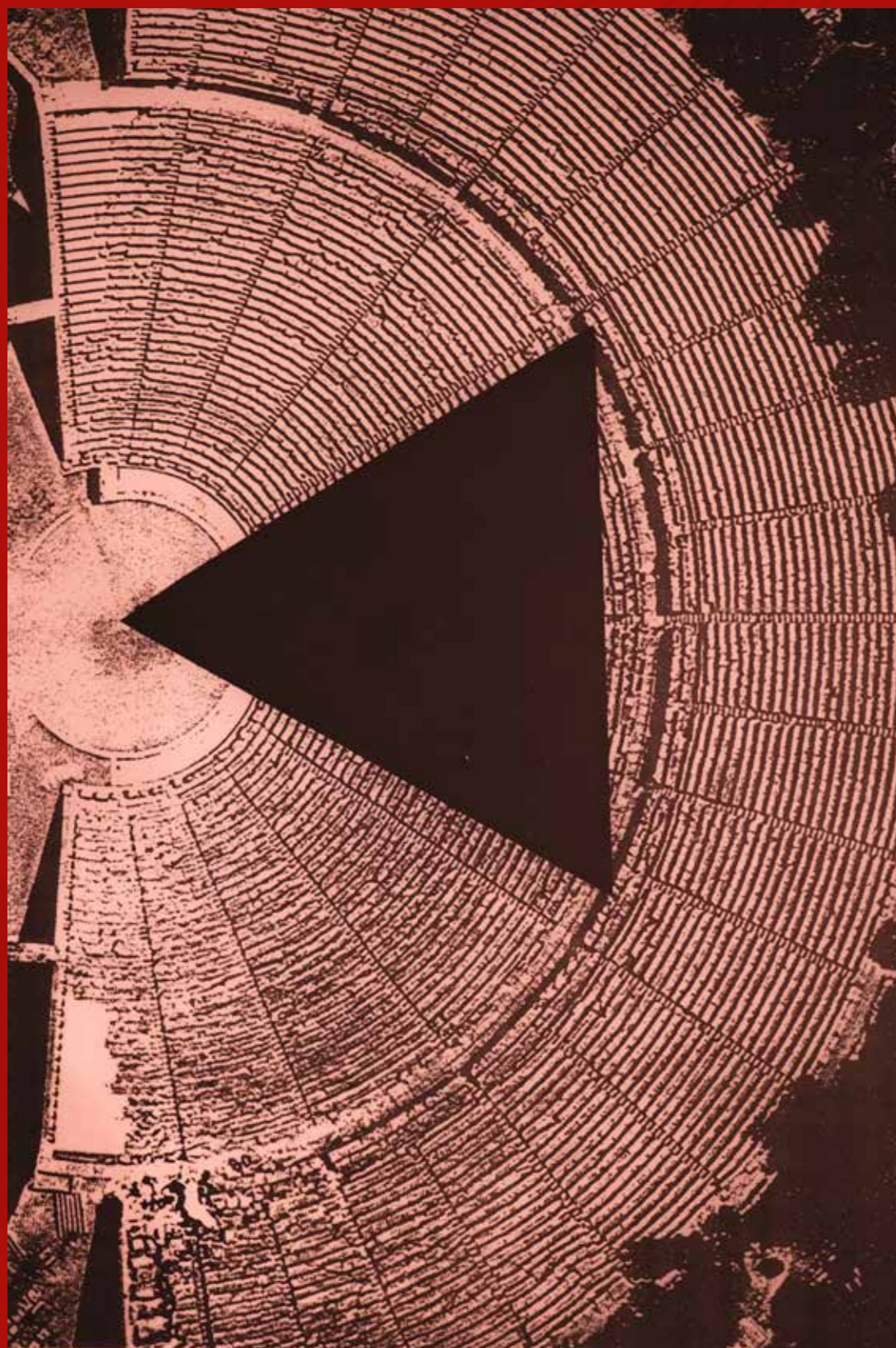
Pokolenie, owszem, było wdzięczne, ale prorocstwo dotyczące niemożliwości zestarzenia się i utraty siły oddziaływania było, jak się okazuje, wątpliwe. 113 lat później przyszedł taki chłystek Sam Levinson i pozamiatane.

Przed prapremierą August Strindberg napisał odręcznie kilka wskazówek do pierwszej obsady „Tańca śmierci”: „Ponieważ sztuka jest długa i męcząca, antrakty od początku aż do pierwszego śpięcia, powinna być niezwykle krótka”.

Polska prapremiera w styczniu 1917 roku, w Teatrze Małym w Warszawie nie była wprawdzie początkiem triumfalnego przemarszu dramatu przez polskie deski sceniczne, bo przed wojną zawędrował jeszcze tylko do Krakowa, ale widać się spodobało, bo co też się działo w PRL-u! Toż to był nieustający festiwal Strindbergowski, w sumie ten tekst Strindberga grano od 1967 roku do początku lat 90-tych.

Kwarantanna, lockdown, testy, dystans. Jak tu grać?

Skoro nie ma już wiele do powiedzenia o karierze „Tańca śmierci” na polskiej scenie i nie ma co zastanawiać się, dlaczego żaden z utalentowanych polskich współczesnych reżyserów nie widzi potencjału w tym tekście, warto podjąć nowy wątek. Film „Malcolm i Marie” to intrygująca, niebanalna opowieść o problemie, który nagle, jak paskudny



wróżd, zaczyna rosnać pewnego wieczora w pewnym związku. Czarno-biała aura filmu nie zmienia się do końca, mało tego, w miarę postępu akcji znacznie się robić coraz bardziej czarno. Ale w finale okaże się, że ten obraz, choć zagrany w obsadzie jeszcze bardziej oszczędnej niż wykoncypował sobie Strindberg, bo składającej się tylko z dwóch osób, to niespodziewanie piękny film. Na dodatek lepszy od sztuki Strindberga.

To dzieło jest drugim dzieckiem twórcy serialu „Euforia”. Bardzo ważny jest czas, w jakim powstało, bo był to moment w dziejach ludzkości niepowtarzalny. Nigdy wcześniej nie przydarzył się nam, jako światu, moment, w którym wszyscy moglibyśmy czuć i przeżywać to samo. Niewyobrażalne wydaje się, że otrzymaliśmy dar zjednoczenia wobec wspólnego wroga, niezależnie od kontynentu, kraju, plemienia, miejsca pracy, sposobu życia. Jeśli ktoś mieszkał w lesie, dżungli, na pustyni, w pustelni, mógł nie zauważyć, że świat opanował znakomity terrorysta, wygrywając tę swoją wojnę na wszystkich frontach.

Skutkiem tego jest totalna aberracja, której już nigdy nie poukładamy sobie w głowie. Stały się szkoły i biura, lekarze leczą przez telefon, nie działały spółdzielnie mieszkaniowe, ludzie unikali towarzyskich i rodzinnych spotkań, trzymali się od siebie z daleka, ale szli do sklepu po zakupy, rzeczy produkowały się w wytwórniach, przetwórnictwie i fabrykach, trwało wydobywanie surowców, a lockdown nie dotyczył górników, pracowników elektrowni czy wodociągów. Byli innymi ludźmi.

Innymi niż producenci filmowi. Sam Levinson nie dał się zatrzymać. Naładowany euforią po „Euforii” zdecydował się napisać scenariusz i sam – niemal sam – zrobić film. Wyszło niezwykle, tak jakby Covid-19 mógł jednak zrobić coś dobrego.

Gdyby przyszło nam do głowy, by wystawić na scenicznych deskach coś przejmującego, coś, co pozwoli widzom zmierzyć się z traumą przetrwania lockdownu w niewietrzonych związkach, pozbawionych energii z zewnątrz, pozbawionych bodźców i skazanych na ciasną stabilizację, paradoksalnie wynikającą ze światowej katastrofy, prędzej przeniosłabym na te deski dramę, jaka pojawiła się w głowie Sama Levinsona niż tekst Strindberga, choć oba opowiadają o wzajemnym mordowaniu się dwojga ludzi.

„Malcolm i Marie”: taniec życia

Dwie role w całej obsadzie to przykład praktycyzmu. Bo taka decyzja to wielka oszczędność na testach przed wejściem na plan filmowy, mniej zamieszania, mniej zagrożeń. Nie trzeba też było przeprowadzać niemożliwych do zorganizowania w owym czasie castingów. Reżyser już wiedział, kogo weźmie: Zendayę i Johna Davida Washingtona (syna Denzela), którzy sprawdzili

się w poprzednich produkcjach. Czarno-biały klimat, który robi niesamowitą robotę, to też dowód na praktyczne podejście – to łatwiejsze zadanie dla postprodukcji i mniej ludzi na planie, mniejsza presja na ekipę, która robi światło.

I żeby było bez spojlerów, tylko trzy słowa na temat okoliczności. Malcolm i jego dziewczyna Marie wracają do swojej wypasionej chaty za miliardy dolarów, pośrodku niczego oprócz natury (morze? sosnowy las? malowniczy klif?). Malcolm świętował premierę swojego filmu, czeka w napięciu na pierwsze recenzje w sieci.

I ta jego radość, euforia, niepewność, podeksycytowanie, huśtawka obrazów i gadek z popremierowego rautu, wszystkie te uczucia nagle dostaną w pysk. I – jak się okaże z następującego wywodu – słusznie.

Jeśli Marie zostanie z Malcolmem, będzie Alice, była aktorką z „Tańca śmierci” Strindberga. Będzie chciała codziennie zamordować go, tego swojego kapitana Edgara, choć tu na horyzoncie nie ma nikogo, z kim mogłaby opuścić to swoje nie do końca w porządku życie. Została, jak czuje, potraktowana instrumentalnie. Jest jak kobiety z poprzednich epok: stanowi tylko drabinkę, po której wspina się ten dupek, nie licząc się z rolą twórczą swojej kobiety, przywłaszczając sobie jej intelektualną robotę.

Filmowy problem, ta intryga, która fantastycznie rozwija się i pęcznieje z każdą minutą filmu, to wspaniała teatralna narracja, odegrana z melodramatyczną emfazą. Emocje wybiegają na różnych amplitudach, odbywa się żonglerka słowna, a ciała dwójki bohaterów są plastycznym elementem choreograficznych układów.

Nie, nie, nie. Film nie zabije teatru, chociaż pandemia starała się mocno przyłożyć do tego dzieła zagłady. Miesiące oglądania spektakli na płasko to była tortura, niech nigdy się nie powtórzy. Ale taka teatralna uczta z Netflixa? Niech nie lecać noże, bo to było naprawdę niezłe.